

Irena Lipowicz

O paradygmacie "Solidarności"

Chrześcijaństwo-Świat-Polityka nr 1 (2), 25-28

2007

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Irena Lipowicz

O paradygmacie „Solidarności”

Czym jest przebaczenie i pojednanie w życiu społecznym i politycznym dzisiaj, po 15 latach transformacji? Po burzach politycznych, polaryzacji działaczy dawnej *Solidarności* i wielu rozczarowaniach? Czy społeczeństwo nie radzi sobie z przeszłością, choć nieźle funkcjonuje w teraźniejszości? Co oznacza kryzys lustracyjny dla Państwa i Kościoła? Czy z naszych doświadczeń mogą skorzystać inni?

Przypomnijmy najpierw, co było siłą moralną *Solidarności*; co sprawiło, że nie stała się małą grupką dogmatyków, że nigdy nie sięgnęła metody terroru, że atakowana, ośmieszana i inwigilowana ostatecznie zwyciężyła. W jaki sposób barwny kobierzec poglądów, uprzedzeń i różnych wizji Polski dało się ująć w ramy organizacyjne? To zwycięstwo było tak nieoczekiwane, że wielu do dziś trudno się z tym pogodzić i szukają drugiego i trzeciego dna kompromisu przy „Okrągłym Stole”, kompromisu, który stał się bramą do naszej wolności, niezależnie od życiorysów jego uczestników.

U podstaw paradygmatu *Solidarności* leżało włączenie a nie wyłączenie, przebaczenie a nie odtrącenie. To sprawiło, że mała grupka dysydentów KOR, PPN, KPN i twórców wolnych związków zawodowych nie pozostała sama, tak jak czechosłowacka Karta 77 – co prawda podziwiana, ale z daleka. Czarodziejską formułą stało się zawołanie demonstrantów – kierowane nawet do ZOMO – „chodźcie z nami?”. Akces do *Solidarności* „sanował” dotychczasowe życie – *Solidarność* była otwarta dla członków PZPR, nie wymagano ani niekaralności ani wolności od nałogów - wielu alkoholików wspominało, że *Solidarność* i polityka w 1980 ich przebudziła i uzdrowiła.

Solidarność wrywała ludzi z izolacji, z egoizmu (w tym z egoizmu branżowego). Związek miał, ku zdziwieniu Zachodu, struktury regionalne. Dawał, co wspomina wielu ludzi, cudowne poczucie wewnętrznej wolności i wspólnoty. Ludzie uczyli się otwarcie głosić poglądy, wybierać władze, pisać statuty, spierać się i kłócić.

Wszystko to było przeciwieństwem ciszy, strachu i izolacji, tak typowej dla zniewolonych społeczeństw. Pojęcie karnawału *Solidarności* oddaje ten nastrój.

Czy członkowie *Solidarności* byli ślepi i naiwni? Czy nie rozumieli, że muszą działać wśród nich agenci, podsłuchy, prowokatorzy? Czy jest możliwe, aby tego nie wiedzieli? Wiedzieli i przechodzili nad tym do porządku dziennego. *Solidarność* jednoczyła najlepsze cechy narodowe: odwagę i ułańską fantazję Kongresówki z wielkopolską ostrożnością, śląskim pragmatyzmem i samoorganizacją, oraz z galicyjskim duchem patriotyzmu i pewnego konserwatyzmu. Prof. Jerzy Stępień postawił tezę, że była to ostatnia polska konfederacja, ze zdrową dawką pewnego naturalnego chaosu. Trauma wiecznych klęsk powstańczych skutkowałą natomiast samoograniczeniem i ostrożnością. Osoby nawołujące do terroru były traktowane jak prowokatorzy.

Wyrzeczenie się przemocy nie było taktyczną zagrywką, wyrastało z wartości chrześcijańskich, z kazań Tischnera i Popiełuszki. „Zło dobrem zwyciężaj”, a więc przygarniaj także złamanych przez władzę, zwiedzionych przez komunizm, pod warunkiem zmiany własnej drogi.

Silą tego nietypowego związku zawodowego było pogodne akceptowanie miazdzącej przewagi przeciwnika, a mimo to postawa „róbmy swoje”. Przykład dał KOR, ujawniając nazwiska swoich członków i z góry wystawiając ich jako podmioty represji. Było to odwrócenie filozofii demaskowania „wrogów ustroju” – sami się zgłaszali, ale nie zamierzali się zmieniać. *Solidarność* pilnowała natomiast legalności rozumiejąc, że nie można od milionów wymagać heroizmu, można natomiast wymagać przyzwoitości. Było więc pewnym fasonem lekceważenie inwigilacji. Wiadomo, że „oni” też „robią swoje”.

Ułtymatywną próbą takiej etyki *Solidarności* był stan wojenny. Odwaga milionów jest przecież zawsze krucha i trudno żądać od nich trwałego udania się do podziemia. Władze komunistyczne liczyły na ogromny potencjał strachu i na swoje zasoby, które ułatwiały „łamanie ludzi”. Świetną okazją do tego były „deklaracje lojalności” wobec ustroju. Osoba, która podpisała „lojalkę” czuła się zwykle złamana, oczekiwała potępienia przez otoczenie, a SB umacniało ją w przekonaniu, że jest to droga bez powrotu. Rzeczą *Solidarności* podziem-

nej było więc odzyskanie, „zawrócenie” takich ludzi. Prawie zapomniana etyka *Solidarności* rozwinięta przez Tischnera nie była garścią sentymentalnych opowieści – miała mocne podstawy filozoficzne i moralne.

Postawę podziemnej *Solidarności* można określić jako „wspaniałomyślną przezorność”. Była to postawa typu: „Powiedziałeś za dużo na przesłuchaniu? Opowiedz nam wszystko i będziesz mógł do nas wrócić – może nie do działalności podziemnej, bo widocznie masz na to za mało siły, ale do pomocniczej. Aresztowali Cię? Spróbuj pomilczeć pierwsze 24 godziny, ale jak się nie uda to trudno”. Zalecenie całkowitego milczenia to dla tysięcy członków *Solidarności* dopiero wynalazek podręcznika „Obywatel a SB”, wcześniej obowiązywała raczej reguła „wykręcaj się jak możesz” i „nie donoś na nikogo”. Podpisałeś współpracę? To ją teraz zerwij. Zamkną Cię za to? To świetnie, będziesz z nami. Rozmawiali z Tobą? Zдай sprawozdanie, staraj się zapamiętać przesłuchującego i pytania „to wzbogaci naszą wiedzę o nich, bazę danych *Solidarności*”.

Wydaje się, że to właśnie była „soft power” tego dziwnego i wspaniałego związku. To było także wyjście z pułapki historycznej. Strajki 1988 były klęską, obie strony straciły siły we wzajemnym klinczu, ale *Solidarność* była wtedy też słaba. Można sądzić, że do rokowań skłaniało ludzi władzy owo przypuszczenie, że hasło „chodźcie z nami” w pewnym stopniu będzie ich dotyczyć. Była to mieszanka strachu, kalkulacji, nadziei wyjścia z systemu bez szwanku, a nawet z korzyścią. Nie miejmy co do tego złudzeń. Ale i nasza strona nie mogła robić krwawej rewolucji, skoro mieliśmy zwyciężać zło dobrem. Dylemat dotyczył także Zachodu. Wiadomo było, że pomogą nam tylko wtedy, jeśli pomożemy sobie sami, że chcą spokoju i nie będą na pewno „umierać za Gdańsk”. Gwarantem pokojowego przejścia mógł być tylko Kościół.

Kościół dawał przez lata dowody niezłomności. W podejściu do teczek duchownych jest wiele gniewu, ale i wiele hipokryzji. Istniała oczywiście, jak w każdym tak intensywnie inwigilowanym środowisku grupa tych, którzy „zaprzędali w pełni duszę”, donosili chętnie, gorliwie i tak, aby szkodzić ludziom. To wymaga wyjaśnienia do końca i w pełni wymaga prawdy historycznej i kompetentnych badaczy. Ale oczekiwaliśmy przecież jako społeczeństwo od Kościoła, który był obłąconą twierdzą, że będzie miał funkcyjnych duchownych, szczególnie mą-

drych i ostrożnych, którzy będą za zgodą i pełną wiedzą przełożonych utrzymywali kontakt i starali się wytargować ustępstwa: ocalić kleryków, załatwić budowę kościoła, wysłać młodzież do Rzymu, wyciągnąć z więzienia czy załatwić widzenie. Kościół był „państwem w państwie” a więc miał jak „państwo” swoich „ambasadorów”, swój wywiad, swoich negocjatorów. Utrzymuje się dziś czasami, że wcale tak nie było. A takich ludzi wrzuca się ich do jednego worka z agentami. Jest obowiązkiem historyków wyraźnie wyodrębnić tę kategorię.

Była wreszcie trzecia grupa. Spotkanie Kościoła i SB to było często zetknięcie ludzi Kościoła z prawdziwym mrocznym światem zła – ze światem ludzi, których zawód to szantaż, zastraszenie, łamanie charakterów, ale także podstęp, łudzenie, oszustwo naiwnych. Ludzie Kościoła żyjący z dala od „Świata” byli często kompletnie bezbronni wobec takich sztuczek, im świętsi, tym bardziej bezbronni. Świetnie ilustruje to smutna anegdota z więzienia na Rakowieckiej, opowiadana przez Władysława Bartoszewskiego, o spotkanym tam zakonniku z Klasztoru oo. Paulinów, człowieku dobrym i dzielnym, który dał się podejść przesłuchującym i do końca nie rozumiał jak to się mogło stać.

Moim zdaniem, współcześnie od zaciętej debaty publicznej znacznie groźniejsze jest porzucenie paradygmatu *Solidarności*, który dał nam wolność i otworzył przyszłość. Włączenie, prawda i pojednanie a nie wykluczenie, dobroć bez naiwności i złudzeń, „miłość społeczna” o której mówi się w Piekarach; tego „chodźcie z nami” adresowanego do społeczeństwa - tego nam brakuje.

Irena Lipowicz, doktor habilitowany prawa, profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, kierownik Katedry Prawa Administracyjnego. Od 1980 r. członek związku zawodowego „Solidarność” oraz członek-założyciel „Związku Górnośląskiego” (1988 r.). Od 1991 do 2000 r. poseł na Sejm. W latach 2000-2004 ambasador nadzwyczajny i pełnomocny RP w Republice Austrii. W latach 2004-2006 Ambasador-Przedstawiciel Ministra Spraw Zagranicznych ds. Stosunków Polsko-Niemieckich.